

Józef Lintner  
ul. Burgaska 3 m 4  
02-758 Warszawa

II / 760

## W s p o m n i e n i a

z przeżyć w Związku Radzieckim w latach 1939-1942

Wspomnienia o moich przeżyciach w Związku Radzieckim pragnę rozpocząć od zdarzeń jakie miały miejsce we wrześniu 1939 r., gdyż w dużym stopniu zaważyły one na moich losach.

W dniu 20 września 1939 r. jednostka wojskowa, w której służyłem znalazła się koło wsi Kuszki nad Bzurą. Nasz dowódca mjr Pacek stwierdził, że jedynym wyjściem z sytuacji - byliśmy okrążeni przez Niemców - jest przerwanie tego okrążenia i dotarcie do Warszawy. Brak amunicji oraz ciężkiej broni spowodował, że wyjście z okrążenia było możliwe jedynie w boju ręcznym.

W nocy z 20 na 21 września przy przerywaniu linii niemieckiej, ukryty za jakimś krzakiem Niemiec z odległości 4 metrów strzelił do mnie. Kula przeszła przez lewą pierś w okolicach serca. Szczęśliwym trafem upadłem na plecy i przycisnąłem ranę do ziemi. Dzięki temu wpływ krwi nie był zbyt duży, mimo że straciłem przytomność.

Rano w dniu 21 września z pobojowiska zabrano rannych, między innymi i mnie i pod eskortą niemieckich żołnierzy odwieziono do Chodakowa, gdzie w fabryce sztucznego jedwabiu znajdował się szpital wojenny dla polskich żołnierzy.

W szpitalu tym przebywałem ponad sześć tygodni i tylko dzięki staraniom doktora komandora porucznika Kazimierza Bielawskiego mogłem jako tako dojść do zdrowia. Zwalnając mnie ze szpitala, doktor Bielawski wyraźnie zastrzegł, że przez około sześć miesięcy nie wolno mi ani pracować, ani wykonywać jakichkolwiek gwałtownych ruchów, gdyż grozi to krwotokiem od którego nie ma już ratunku.

Zaleczony, ale nie wyleczony, wróciłem do rodzinnego domu do miejscowości Maniewicze na Wołyniu wówczas już zajętych przez wojska radzieckie.

Po pewnym okresie, odwiedził mnie w domu mój dobry znajomy Chomiczyk wówczas komendant straży w fabryce parkietu i zapytał dlaczego nie pracuję. Wyjaśniłem mu, że po ciężkim zranieniu nie mogę jeszcze pracować i narazie utrzymuje mnie ojciec. To moje wyjaśnienie nie zadowoliło Chomiczuka, który wręcz stwierdził, że w ustroju radzieckim wszyscy muszą pracować i że NKWD już się mną

interesuje.

W takiej sytuacji udałem się do Naczelnika Stacji Kolejowej w Maniewiczach z prośbą o przyjęcie mnie do pracy. Oświadczyłem mu, że poprzednio przed wojną złożyłem egzamin zwrotniczo-konduktorski i pracowałem na tej stacji i że pracują tu jeszcze dwie osoby, które znają mnie z tego okresu. Na moje wyjaśnienia, że dotychczas nie zgłosiłem się do pracy z powodu ciężkiego zranienia i konieczności wyleczenia się, zawiadowca, bardzo agresywny Rosjanin zaczął na mnie krzyczeć i wyrzucił mnie ze stacji oświadczając, że nie potrzebni mu tacy co byli na wojnie.

W takiej sytuacji zwróciłem się do Chomiczuka z prośbą o pomoc w znalezieniu pracy. Chomiczuk przyjął mnie do siebie początkowo na strażnika, a po kilku tygodniach mianował mnie swoim zastępcą.

W dniu 17 października 1940 r. w czasie pełnienia przeze mnie służby, późnym wieczorem na wartownię przyszedł prokurator z Maniewicz, któremu zameldowałem sytuację na posterunkach zgodnie z zapisem w książce meldunków. Prokurator wysłuchał mego raportu, a następnie usiadł na ławce i udawał że drzemie. W tym czasie poszedłem na kontrolę posterunków, a po powrocie stwierdziłem, że prokurator jeszcze jest i śpi lub udaje że śpi. Kiedy zakończyłem wpisywanie spostrzeżeń z kontroli posterunków w książce meldunków, prokurator wstał i kazał mi iść z nim. Po wyjściu za bramę powiedział do mnie "zdejm pas i połóż ręce na płocie" jesteś aresztowany. W tym samym czasie z ciemności wyszło dwóch milicjantów, którzy dokładnie mnie zrewidowali i następnie wszyscy udaliśmy się do mego domu, gdzie także przeprowadzono szczegółową rewizję. Ponieważ nie znaleźli niczego co by ich interesowało, zabrali mi trzy ubrania i rower - wg ich określenia "maszynę tę" tzn. rower posiadam nielegalnie. Co do ubrań wręcz oświadczone mi, że wolno posiadać dwa ubrania, jedno do pracy, a drugie wyjściowe.

Po dokonaniu rewizji i zabraniu, jak już wspomniałem trzech ubrań i roweru, konwojowany przez milicjantów i prokuratora zostałem odprowadzony na komendę.

Po przybyciu na komendę, tenże prokurator zaczął mnie przesłuchiwać i wtedy po raz pierwszy usłyszałem, że jestem oskarżony o przynależność do Związku Walki Zbrojnej. Mimo kilkogodzinnego zmuszania mnie do przyznania się do przynależności do ZWZ, prokurator nie osiągnął swego celu. Przez cały czas bowiem twierdziłem, że nigdy nie należałem i nie należę do ZWZ.

Pragnę w tym miejscu przedstawić metody, jakimi posługiwał się także prokurator.

Nie osiągnąwszy zamierzonego celu, bardzo zdenerwowany położył na stole wyjęty z szuflady rewolwer, a sam wyszedł z pokoju. Zdawałem sobie sprawę, że jest to z jego strony prowokacja i że w momencie kiedy wezmę rewolwer, zostanę natychmiast zastrzelony przez niego, gdyż napewno stał za drzwiami i obserwował mnie. Na tego rodzaju prowokację nie zareagowałem i dalej spokojnie siedziałem za stołem. Po kilku minutach prokurator wrócił do pokoju w stanie wzburzonym i tym rewolwerem zaczął mnie bić po głowie, plecach, gdzie tylko trafił. Następnie kazał mi wejść pod schody prowadzące na pierwsze piętro w miejscu, gdzie łączą się z podłogą. Nie mogąc bardziej wcisnąć się pod te schody byłem przez prokuratora kopany. Następnie prokurator polecił pilnującym mnie milicjantom, że jeżeli będę się ruszać, mają mnie natychmiast zastrzelić.

W takiej pozycji przeleżałem do rana, kiedy to półprzytłoczonego odprowadzono mnie do aresztu zbudowanego z desek w ogrodzie. W areszcie były trzy cele i korytarz i aresztowanych pilnowało dwóch milicjantów.

W godzinach rannych, żona moja przyniosła jakieś jedzenie i prosiła żeby mi doręczono, to samo uczyniła następnego dnia. Milicjanci, mimo, że obiecali doręczyć mi to jedzenie, nie zrobili tego, a sami wszystko zjedli. Kiedy ich o tym powiadomiłem /całą rozmowę żony z nimi słyszałem/, zareagowali tylko śmiechem. Przez trzy dni prokurator prowadził śledztwo, jednak również bez żadnego rezultatu. W tym czasie żadnego posiłku nie otrzymałem. Czwartego dnia, wymęczonego, głodnego- odwieziono mnie na stację w Maniewiczach, gdzie w pociągu był dla mnie i dwóch konwojujących mnie milicjantów zarezerwowany oddzielny przedział. W drodze do Łucka, na stacji Przeworsk, jeden z milicjantów udał się po jedzenie jednak mnie nie dano nawet kawałka chleba. I tak bardzo wyголоśniały i wyczerpany zostałem w godzinach wieczornych dowieziony do Łucka. W Łucku odprowadzono mnie do prokuratury, gdzie na korytarzu były ustawione bardzo małe budki-klatki, w których aresztowani czekali na przesłuchania.

W trakcie przesłuchiwania mnie, również do niczego nie przyznałem się i na polecenie prokuratora zostałem odesłany do więzienia. Na moją prośbę, żebym dostał coś do jedzenia, ponieważ od czterech dni nic nie jadłem, ten prokurator oświadczył, że jedzenie otrzymam ran w więzieniu.

W więzieniu znalazłem się w celi o pow.około 20 m<sup>2</sup>, w której siedziało już aż siedemdziesięciu czterech aresztowanych. W dzień, kiedy część więźniów była zabierana na przesłuchania, można było jeszcze usiąść na gołej podłodze, jednak wieczorem wszyscy musieli już stać, a kładli się spać na komendę na jeden bok, by po paru godzinach jednocześnie przewrócić się na drugi. Spało się oczywiście na gołej podłodze. Zrozumiałem, że w takich warunkach, mimo że koło drzwi stała beczka zwana "paraszą", nie było zupełnie możliwości załatwienia swoich potrzeb fizjologicznych. Na ten cel przeznaczony był bardzo krótki czas koło godz.10 rano. Wszystkich więźniów wyprowadzano z celi do ubikacji, w której nie było ścian ani sedesów i załatwianie odbywało się bezpośrednio do rur. Krótki czas przeznaczony na ten cel oraz duża ilość więźniów doprowadzała, że fekalia walały się po podłodze, były rozdeptywane i potem roznoszone po korytarzu. Panujący smród był nie do zniesienia.

Godność ludzka była poniżana do ostatnich granic. Raz w tygodniu wyprowadzano nas na spacer po małym więziennym podwórku.

Wielu aresztowanych było chorych /zaczynała się już zima/, kaszlało, spluwało do stojących na korytarzach spluwaczek, do których były także wrzucane niedopałki papierosów. Nałogowi palacze, mimo krzyku i bicia przez strażników wyciągali te resztki papierosów i po wysuszeniu w celach palili.

Tak byli traktowani więźniowie w więzieniu w Łucku.

Od chwili aresztowania, byłem zupełnie izolowany. Nie wolno mi było kontaktować się z żoną i rodziną, wysyłać listów czy otrzymywać paczek. Praktycznie nikt z rodziny nie wiedział co się ze mną stało.

W trakcie ostatniego przesłuchania w prokuraturze w Łucku doszło do konfrontacji między mną a Komosą- nauczycielem z Maniewicz. W/w Komosa na polecenie prokuratora potwierdził złożone poprzednio w śledztwie zeznanie, że dawał mi jakieś rozkazy i pocztę do innych organizacji ZWZ. Na tego rodzaju oświadczenie Komosy z krzykiem wybuchłem, że to nieprawda, że napewno pomylił mnie z kimś innym. Moja nagła reakcja spowodowała, że prokurator polecił strażnikowi odprowadzić mnie do suteryny do dużej sali tortur. Przy drzwiach w tej sali znajdowała się ławka, na której kazano mi usiąść. Na własne oczy widziałem różne urządzenia tortur pochodzące chyba jeszcze ze średniowiecza. Jakieś koła, drabiny itp. Na niektórych z nich wisieli przywiązani za ręce ludzie. Koło mnie w pozycji skrzywionej z zakneblowanymi ustami znajdowała się jedna osoba.

Na podłodze leżał blat stołu z nabitymi ostrzem do góry gwoździami, na którym nikogo nie było. Dookoła jednak stychać było jęki torturowanych ludzi.

Tego makabrycznego widoku nie można opisać, brak odpowiednich słów. To było coś strasznego.

Ogarnął mnie strach na myśl, co mnie w tej sali czeka. Sparaliżowany siedziałem na ławce.

Po jakimś jednak czasie /około 20 minut/ wszedł strażnik i zabrał mnie z tej sali tortur i samochodem zostałem odwieziony do więzienia.

W dniu 13 listopada 1940 r. śledztwo przeciwko mnie zostało zakończone i w dniu 23 grudnia tegoż roku odbyła się rozprawa sądowa.

Przebieg rozprawy wymaga oddzielnego omówienia.

Prokurator oskarżył mnie o udział w Związku Walki Zbrojnej i zażądał kary śmierci. Jakiś nieznany mi świadek ten fakt potwierdził, to samo stwierdził także mój tzw. "obronca". Trzech sędziów również oskarżyło mnie o przynależność do ZWZ. Uderzeniem młotka w stół przewodniczący zespołu sędziowskiego zamknął rozprawę i odczytał wyrok z góry już przygotowany na piśmie. W wyroku tym było kilka nazwisk, między innymi i moje. Wyrok brzmiał - kara śmierci. Zasługuje na uwagę, że żadnych przesłuchań, wyjaśnień, czy innych czynności związanych z rozprawą nie przeprowadzano.

Praktycznie była to parodia sądu, o tyle jednak straszna, że kryły się za nią ludzkie życia.

Kiedy znalazłem się w więzieniu, oficer służbowy powiadomił mnie, że jeżeli chcę, to mogę zwrócić się do Stalina o ułaskawienie. Na moją zgodę dostarczył mi papier i atrament.

Po jakimś czasie zostałem powiadomiony, że Stalin zamienił karę śmierci na dożywotnie zesłanie mnie na wyspę Nowa Ziemia koło bieguna północnego do batalionu karnego na ciężkie roboty w kopalni.

W ten sposób zamknął się pewien okres mego życia na Wołyniu zajętych we wrześniu 1939 r. przez wojska radzieckie i jak wówczas głośno mówiono wyzwolonym od polskiego ucisku.

W tym krótkim czasie miałem możliwość poznać kulisy radzieckiego prawa a także prawdziwości hasła "człowiek najwyższym dobrem".

Teraz czekała mnie daleka droga i wielka niewiadoma.

W dniu 9 marca 1941 roku wraz z innymi więźniami zostałem "załadowany" do pociągu i wywieziony z Łucka.

Transport ten składał się z wagonów towarowych, w których okna od wewnątrz były odrutowane, a od zewnątrz zabite deskami. W wagonach nie było żadnych ławek, prycz czy nawet słomy. Siedziało się na gołej podłodze. Jedynym odogodnieniem był niewielki otwór w podłodze, do którego załatwiano się. Po umieszczeniu w takim wagonie 46 więźniów, drzwi zostały zamknięte i zaplombowane. Konwojujący nas strażnicy służbę swoją pełnili na stopniach wagonów i w budkach hamulcowych.

W dniu 10 marca transport nasz przejechał przez Lwów, następnie przez Równe i 13 marca przekroczyliśmy granicę polsko radziecką. Po przejechaniu przez Kijów w dniu 18 marca dotarliśmy do Charkowa, gdzie nastąpiła przerwa w podróży. Skierowano nas do miejscowego więzienia kobiecego, gdzie odbyła się segregacja więźniów na grupy zgodnie z przeznaczeniem miejsca zsyłki.

Przybycie nasze do tego więzienia wywołało wśród więźniarek ogromną sensację. Przywitały nas krzykiem i okazywanymi w różnej formie zachętami do bliższych kontaktów. Było to bardzo żenujące i sprawiało wyjątkowo przykre wrażenie. Najbardziej poniżającym było jednak strzyżenie nas z wszelkiego owłosienia przeprowadzane przez kobiety ręcznymi maszynkami.

W więzieniu w Charkowie przebywaliśmy cztery dni śpiąc i cały czas pozostając na placu pod gołym niebem. Czwartego dnia ponownie załadowano nas do wagonów, wydano suchy prowiant i wysłano w dalszą drogę. Przez Moskwę, Kotłas jechaliśmy do Uchty. Przez całą drogę spaliśmy na gołej podłodze. Nie było wody. Co pewien czas otrzymywaliśmy kawałek chleba czy sucharów oraz bardzo rozwędniczoną supę zwaną "bałandą". W rzeczywistości cały czas byliśmy głodni, zmarznięci i zupełnie wycieńczeni.

W Uchcie przeładowano nas na barki i rzeką Peczorą popłynęliśmy do portu Norian-Mar Cieénina Karskie Wrota, Morze Arktyczne. W porcie tym transport w którym byłem, przeznaczony na wyspę Nowa Ziemia został zatrzymany, gdyż zamrożone morze uniemożliwiało dalszą podróż aż do następnego roku.

W takiej sytuacji zdecydowano skierować nasz transport do obozu "Zagru" Koźwa koło Workuty nad rzeką Us-Usa. Rzeka ta dzieliła Syberię na dwie części. Po jednym brzegu była tajga, a po drugim już tundra z jej charakterystycznymi niskimi zaroślami.

Osadzenie w obozie Koźwa zapoczątkowało następny okres mego życia w Związku Radzieckim.

Odrazu po przybyciu do obozu, jego komendant dokładnie nas zlustrował, a następnie zapytał czy między nami jest doktor. Kiedy nikt się nie zgłosił, wytypował jednego z więźniów na tę funkcję. Wskazany więzień wzbraniał się twierdząc, że jest cieślą, jednak komendant stwierdził: "byłeś cieślą, a teraz będziesz doktorem" i wskazał mu barak, gdzie rzekomo miała być izba chorych.

Należy podkreślić, że poza jodyną i aspiryną niczego tam więcej ~~mi~~ nie było, nawet zwykłych opatrunków.

Pozostałych więźniów podzielono na 20-osobowe brygady. Ja trafiłem do brygady niejakiego Morozowa, b.ambasadora carskiego we Francji, który w ZSRR był "etatowym" więźniem. Od niego też otrzymałem pierwszą pracę tj. wykopanie dołu koło kuchni. Była to bardzo ciężka praca, ponieważ złe i tępe narzędzia nie mogły rozbić zamrożonej na dużą głębokość ziemi. Po kilku dniach pracę tę wykonałem.

Na podkreślenie zasługuje wzmianka, że każda praca w obozie była zakordowana i od czasu jej wykonania tzn. wykonania normy uzależniony był rodzaj i ilość posiłków. Żadnych bowiem pieniędzy za pracę nie otrzymywaliśmy. Ilość jedzenia była jedynym ekwiwalentem za pracę.

Warunki mieszkaniowe w obozie były bardzo złe. Mieszkaliśmy w prymitywnych drewnianych barakach zbudowanych z cienkich okrągłaków uszczelnianych mchem. Silne wiatry wyrywały ten mech i w barakach było bardzo zimno. Jeden mały piecyk żelazny w żaden sposób nie mógł nie tylko ogrzać takiego baraku, ale nawet utrzymać w nim jakiegś znośnej temperatury. Więźniowie spali na piętowych pryczach. Żadnych ubrań, pościeli, koców nie otrzymywaliśmy. Każdy spał w tym w czym przybył.

Zrozumiałym, że ubranie, w którym przesiedziałem w więzieniu a teraz miałem na sobie, było w stanie trudnym do opisania, nawet nazwa ubranie nie bardzo do niego pasowała.

Nie wspominam już o wszach, które dosłownie nas zagryzały, a z którymi walka była beznadziejna, bowiem w obozie żadnej łaźni nie było.

Oczywiście można było w obozie kupić jakieś ubranie, czy to kradzione, czy po zmarłym więźniu, ale ~~nie~~ <sup>trzeba</sup> było mieć pieniądze a tych nie miałem.

<sup>1</sup>ego rodzaju handlem zajmowała się tzw. brygada huliganów, która za nieoficjalnym przyzwoleniem komendantury obozu szantażowała i

ograbiwała więźniów. Prawdopodobnie swoimi łupami dzieliła się z "władzą", gdyż działała jawnie i bezkarnie i wszyscy więźniowie bali się jej członków.

O metodach działania tej bandy najlepiej świadczy taki przykład: Pewnego wieczoru, kiedy już leżeliśmy na pryczach, weszło do baraku 6 takich zbirów i zatrzymało się koło jednego z więźniów - prawdopodobnie polskiego oficera, który miał na nogach buty z cholewami. Między sobą zaczęli się targować o te buty i po pewnym czasie stwierdzili, że są one już sprzedane i kazali temu więźniowi je zdjąć. Kiedy odmówił, pobili go, połamali mu żebra i buty zabrali.

Takie metody stale stosowali, utrzymując więźniów w ciągłym strachu.

Mój znajomy Bartnicki, który także miał buty tzw."oficerki" przestraszył się i zaraz swoje buty sprzedał za 40 rubli. Za 5 rubli kupił sobie pospolite w obozie buty tj.kawał uciętej opony samochodowej przywiązanej do nóg sznurem. Bojąc się stracić pozostałe pieniądze, zaproponował mi ich podział na dwie części, z których jedną każdy z nas będzie przechowywał. Mimo oporu zgodziłem się na jego propozycję i część daną przechowania schowałem "za pazuchę". Prawdopodobnie ktoś to widział, gdyż już następnego dnia zaczęli mnie ci z brygady huliganów i pieniądze zabrali. Nie miałem żadnej możliwości obrony.

Praca w obozie obowiązywała po 12 godzin dziennie bez żadnych wolnych dni czy świąt. Jedzenie otrzymywano zgodnie z wyrobioną normą. Praktycznie wyglądało to tak: - śniadanie, tylko gotowana woda tzw."Kipiatok", obiad - 60 gram chleba oraz zupa ze zgniłej śmierdzącej ryby bez żadnych dodatków jak kartofle czy jarzyny. Zupę dzielono na 5 kotłów, w każdym z nich bardziej rozwodniona i tylko od wyrobienia normy zależało z którego kotła otrzymywało się tę zupę. Z ostatniego, gdzie była już prawie sama woda karmiono tych co z różnych przyczyn nie pracowali /chorzy itp/.

Tego rodzaju zupa była stałym naszym pożywieniem.

Magazyn ryb, z których przyrządzano nam posiłki znajdował się na drugim brzegu rzeki US-USA w odległości około 200 m od obozu. Smród tej zgniłej i zepsutej ryby często dochodził do obozu.

Komendant obozu w czasierządkich inspekcji jadalni zawsze twierdził, że chociaż zupa z tej ryby śmierdzi, przecież wszyscy ją jedzą. A my przecież musieliśmy to śmierdzące paskudztwo jeść, gdyż nic innego nie było, a w tundrze nikt nic do jedzenia nie znalazł.



Jedyną okazją do zdobycia jakiegoś jedzenia było rozładowywanie statków przyplływających z żywnością. Poza rybami przywoziły one czasami kartofle. W takich przypadkach było bardzo wielu chętnych do rozładunku, bo mimo, że kartofle były pilnowane przez strażników, niekiedy udawało się rozerwać worek i z wysypanych ziemniaków jakiś złapać i natychmiast zjeść. W pewnym stopniu zapobiegało to cyndze /szkorbutowi/. Były to jednak bardzo rzadkie okazje.

W okresie pobytu w tym obozie, przez jakiś czas pracowałem w tajdze przy wyrębie drzew, które po oczyszczeniu były wysyłane do kopalni w Workucie, skąd otrzymywaliśmy węgiel, który po przeładowaniu na barki odprawiany był w głąb Rosji.

Następnie skierowano mnie do pracy przy budowie lotniska koło obozu w Koźwie. Praca polegała na tym, że odmrożoną w ciągu dnia ziemię z małych pagórków zasypywaliśmy dołki równając teren. Była to praca wykonywana w dużym pośpiechu, gdyż ciepłych dni było mało i należało je maksymalnie wykorzystać, bowiem ziemia była tak zmarznięta, że bez rozmrożenia jej nie można było nic zrobić.

Z kolei skierowano mnie do pracy przy wylawianiu drzewa z rzeki Us-Usa. Była to wyjątkowo ciężka i niebezpieczna praca. Bosakami należało wylapywać płynące rzeką kłody i wyciągać je na brzeg. Były to bardzo śliskie, ciężkie pnie o różnej grubości, które żeby wyciągnąć na brzeg należało wchodzić do wody. Innego sposobu nie było. Oczywiście stale byliśmy mokrzy, a nie mając zapasowych ubrań zmuszeni byliśmy chodzić i spać w mokrych. W konsekwencji doprowadziło to do wielu zachorowań. Ja osobiście nabawiłem się poważnego reumatyzmu.

O tym, w jakich warunkach pracujemy, co jemy nikogo nie obchodziło i nikt się tym nie interesował. W obozie popularnym było powiedzenie: "albo prywykniesz, albo podochniesz".

W ogóle praca w obozie w Koźwie była katorżnicza, jeszcze gorsza niż w czasach niewolnictwa.

Jeżeli chodzi o mnie, to bez żadnego powodu, jedynie na podstawie zmyślonych zarzutów, stałem się z normalnego człowieka strzępem ludzkim pozbawionym wszystkiego. Straciłem dom rodzinny, ziemię, sad w "aniewiczach, a Związek Radziecki nigdy w żadnej formie nie naprawił wyrządzonej mi krzywdy.

W dniu 17 września 1941 r. po pobudce przez megafony zainstalowane w obozie usłyszeliśmy nieoczekiwaną i niespodziewaną wiadomość. Naczelnik obozu powiadomił, że Stalin po zawarciu porozumienia z generałem Sikorskim, ogłosił dla wszystkich Polaków więzionych w ZSRR amnestię, i że od tej chwili jesteśmy wolni.

Zaskoczenie było tak wielkie, że nie wiedzieliśmy co się z nami dzieje. Była to przecież tak nieprawdopodobna wiadomość, że nie mogliśmy w nią uwierzyć.

Tego samego dnia wydano nam kwestionariusze zawierające tylko trzy pytania:

1. Czy chcesz wstąpić do Armii Czerwonej?
2. Czy chcesz pracować w Związku Radzieckim?
3. Czy chcesz wstąpić do Armii Polskiej?

Oczywiście odrazu napisałem, że chcę wstąpić do Armii Polskiej. Czekałym na przystani statkiem, w tym samym dniu odpłynęliśmy do Uchty. Na drogę każdy z nas otrzymał pół bochenka chleba i 6 śledzi solonych. Miało to wystarczyć na kilka tygodni podróży. Jadąc dalej z Uchty pociągiem, korzystając z postojów, biegaliśmy po okolicznych polach i zbieraliśmy pozostałe jeszcze kartofle, które następnie gotowaliśmy w różnych puszkach. Pozwoliło to nam jako tako przeżyć.

Obecnie oglądając filmy o carskich zesłańcach, dochodzę do wniosku, że w tamtych czasach życie na Syberii było dużo lżejsze niż w okresie panowania Stalina. Pogardę dla ludzi i metody ich wyniszczenia Stalin doprowadził bowiem do perfekcji.

Opuszczając obóz otrzymałem odpowiednie zaświadczenie, którego odpis załączam do tych wspomnień.

Jadąc z Syberii, mówiono nam, że jedziemy do Taszkientu, gdzie na Polaków czeka już dużo żywności przysłanej z zagranicy. Okazało się to jednak zwykłą plotką. Po przybyciu do Taszkientu okazało się, że nikt na nas nie czeka, że nie ma żadnej żywności. W takiej sytuacji Rosjanie wyznaczyli swoich przewodników, którzy mieli znaleźć dla nas kwatery i pracę. W rzeczywistości ani w Taszkientcie, ani w Samarkandzie czy Bucharze nie było dla nas miejsca. Po przejściu około 300 km załadowano nas na barki i rzeką Amur Daria popłynęliśmy do Nokusa.

W trakcie podróży zdarzył się wypadek, który spowodował wielkie nasze podenerwowanie. W środku stepu kapitan statku zatrzymał nasz transport i oczekiwał na jakieś dyspozycje. Nie wiedzieliśmy o co chodzi, tym bardziej, że przez trzy dni staliśmy w jednym miejscu bez jedzenia, otoczeni strażnikami.

Przychodziły najgorsze myśli. Sprawę jedzenia udało się nam jakoś rozwiązać dzięki jednemu z kolegów, który w stepie złapał błakającego się osła i przyprowadził do nas. Natychmiast zabiliśmy go i mimo, że było to bardzo twarde mięso, natychmiast je zjedliśmy.

Czwartego dnia statek nasz popłynął do Nokusa, gdzie zostaliśmy przyjęci do kołchozu im. Ordżonikidze i rozdzieleni po jednym do rodzin uzbeckich, które były za nas odpowiedzialne.

W dniu 17 grudnia zostałem przydzielony do niejakiego Koszow Nastaza, u którego pracowałem przy kopaniu rowów i nawadnianiu terenu. Codziennie rano wyznaczano mi normę ile rowu mam wykopać. Mój gospodarz dostawał za mnie trzy kg mąki raz na tydzień i jego obowiązkiem było mnie karmić. Praktycznie dziennie dostawałem kilku dekowy kawałek placka z tej mąki i zrozumiałe, że zawsze byłem głodny. Spałem w pokoju na podłodze pokrytej chwastami zbieranymi w stepie.

Gospodarz mój codziennie wieczorem, po sprawdzeniu, że wszyscy już śpią, wychodził z dubeltówką do pilnowania magazynów i rano skoro świt wracał /z braku zegarków czas liczył się od wschodu do zachodu słońca/ i budził nas.

Pierwszym moim obowiązkiem było pójście razem z gospodarzem do chlewu i umieszczenie tam sześciu baranów, natomiast resztę wypędzałem na pastwisko. Następnie trzeba było po odciążeniu ściółki podnieść wieko od lochu, wyciągnąć z tamtąd sześć innych baranów i wypędzić na pastwisko, a zatrzymane w chlewie schować do lochu i spowrotem loch zamaskować.

Cała ta operacja wynikała stąd, że te sześć baranów nie było zarejestrowane i schowane na jakieś ich tradycyjne święto, w czasie którego musiało być mięso baranie, a z kołchozu nie mogła zginąć żadna owca, bo groziło to skazaniem winnego na śmierć.

Udawałem, że o tej kombinacji nic nie wiem, chociaż o ukrytych baranach wiedziała cała wieś oraz przewodniczący. Nie wiedziały tylko władze NKWD.

Po skończeniu pracy w chlewie, dostawałem od gospodarza kawałek placka i szedłem do kopania wyznaczonego mi odcinka rowu. Praca ta była stosunkowo ciężka, gdyż ziemia spalona przez słońce była bardzo twarda, skamieniała.

Pewnego dnia zdarzył się przykry wypadek, który w rezultacie mógł się dla mnie tragicznie skończyć.

Gospodarz po wykonaniu wszystkich swoich czynności, sprawdzeniu czy wszyscy już śpią, poszedł na swoją służbę. Zmęczony szybko zasnąłem. W nocy poczułem, że ktoś mnie budzi. Odwróciłem głowę i zobaczyłem nagą swoją gospodynię, która z uśmiechem usiłowała się do mnie zbliżyć. Zobaczyłem także, że dzieci, a było ich sześćcioro patrzą na nas. Odpchnąłem gospodynię i spokojnie zasnąłem. Rano gospodarz z krzykiem obudził mnie i grożąc dubeltówką wołał, że jestem "karapszuk" tzn. złodziej. Powiedział, że mnie aresztuje i odprowadzi do przewodniczącego. Na moje pytanie co ukradłem, powiedział, że w nocy pootwierałem wszystkie zamki od chlewa, kurnika, spiżarni. Kazał mi zabrać mój worek i iść z nim do przewodniczącego. Zanim jednak wyszliśmy, powiedziałem mu, jeżeli coś twojego ukradłem to sprawdź w moim worku, zrewiduj mnie. Na moje żądanie zrobił to, jednak niczego nie znalazł. Mimo to w dalszym ciągu nastawał żeby zaprowadzić mnie do przewodniczącego. Ponieważ nie chciałem nieść swojego worka żeby nie być posądzonym, że coś z niego wyrzuciłem, sam go niósł i grożąc mi dubeltówką odprowadził mnie do przewodniczącego.

Było to bardzo rano i przewodniczący po wysłuchaniu mojego gospodarza i jego oskarżenia przeciwko mnie, stwierdziwszy, że nie mam żadnych cudzych rzeczy, zwymyślał go, a mnie kazał czekać w przedpokoju swego biura.

W niedługim czasie przyjechali na koniach dwaj pracownicy NKWD i zaczęli przesłuchanie przewodniczącego i mojego gospodarza na temat mojej rzekomej kradzieży.

Po pewnym czasie wyszedł z biura mój gospodarz zadowolony i powiedział, że zaraz pójdiesz pod ściankę jako złodziej. Zdając sobie sprawę, że to już nie żarty, powiedziałem mu, nie ciesz się, bo niewiadomo kto z nas jest złodziejem. Jak mnie będą pytać, to powiem i udowodnię, że ty jesteś złodziejem i wskażę miejsce gdzie chowasz nierejestrowane barany.

Moje oświadczenie bardzo go przeraziło. W tym czasie wezwano mnie i jego na przesłuchanie, jednak poszedł sam beze mnie. Po kilku chwilach pracownicy NKWD wyszli z budynku i nie zwracając na mnie uwagi odjechali.

Ja podeszedłem wówczas do przewodniczącego i mojego gospodarza, którzy stali bardzo bladzi i powiedziałem, że przez nierozważne postępowanie mogłem zginąć. Powiedziałem także, że nic mnie nie obchodzi ich machinacje z baranami, bo czekam na skierowanie do

wojska polskiego, ale nie miałem zamiaru ginąć przez ich głupotę. Wyjaśniłem również z czego cała ta sprawa zaistniała i poradziłem swemu gospodarzowi żeby zapytał dzieci, one wszystko widziały. W rezultacie mój gospodarz poszedł do domu i tam rozprawił się z własną żoną.

W tym czasie przewodniczący powiedział mi, że skieruje mnie do innego gospodarza, gdzie będzie mi napewno dobrze i zaprowadził mnie do domu starego małżeństwa Zymagali Ałdaszow, gdzie mieszkałem do czasu powołania mnie do wojska polskiego.

W dniu 1 marca 1942 r. byłem na pierwszej komisji wojskowej w Hatedpa, następnie w dniu 4 marca na komisji lekarskiej i w dniu 7 marca zostałem przyjęty do armii polskiej.

W dniu 9 marca wymaszerowaliśmy z m.Hadzyli do Nokusa, skąd 24 marca wyjechaliśmy pociągiem do Krasnowodzka. Po przeprowadzeniu różnych formalności w dniu 31 marca 1942 r. załadowaliśmy się na statek "Moskwa" i morzem Kaspijskim odpłynęliśmy do Iranu. Po przybyciu do Persji - byliśmy w swoich ubraniach-łachmanach, zawszeni, brudni, po dokładnej dezynfekcji i oczyszczeniu się z brudów, otrzymaliśmy nową bieliznę i polskie mundury wojskowe.

Znowu byłem polskim żołnierzem i normalnym człowiekiem.

Powyższe wspomnienia piszę z myślą, że jest moim obowiązkiem pokazać co ja i wielu takich mnie podobnych przeżyło w czasie pobytu w Związku Radzieckim, jak nas tam traktowano, jakie były losy Polaków, którzy wbrew własnej woli znaleźli się w Rosji i odczuli na sobie antyludzką politykę Stalina.